

Jesienne gadu gadu

5 grudnia 2016

30 listopada 1988 r. cała Polska usiadła przed telewizorami. To była sensacja – spotkanie przed kamerami szefów dwóch central związkowych. Tego, którego oficjalnie nie było, a mimo to on był i to jak! I drugiego, który był wszędzie, tylko co z tego? Pierwszy brał, na co miał ochotę, drugi – mimo, że formalnie był członkiem Biura Politycznego KC PZPR – swoją pozycję musiał sobie wyrąbywać w mozole.

– Jak myślisz, czy ktoś oprócz nas jeszcze tę rozmowę pamięta? Czy ktoś w ogóle pamięta, kto to był Alfred Miodowicz. Pamiętasz tamte dni?

– Jasne! Pamiętam nawet, że prób rozmowy z Wałęsą było bardzo dużo. Kiedy na przełomie kwietnia i maja 1988 r. wybuchły strajki, m.in. strajk w Stoczni Gdańskiej, byłem wtedy redaktorem naczelnym Tygodnika Związkowiec. Od swoich znajomych z „Solidarności”, dowiedziałem się, że Wałęsa jest na terenie Stoczni, i że dostał się tam wbrew tym, którzy strajk wzniecili. To była kolejna, młoda zmiana robotników – nie zwracając uwagi na stary układ wałęsowski, zatrzymali stocznię. Mój dziennikarz dostał się tam, przedarł się przez te kordony i do Wałęsy dotarł. Wałęsa miał swój pokój, wielki plaster styropianu i tak tam zamieszkał. Powiedział, że nie wyjdzie dopóki strajku nie wygasi. Nagrana została z nim bardzo ciekawa rozmowa – Wałęsa powiedział, że nieodpowiedzialni gówniarze wzniecili ten strajk. Że to jest wbrew wszystkiemu, o co on walczył. Że to nie jest czas na takie zabawy, bo to się źle skończy, że ktoś za to powinien ponieść odpowiedzialność, i że to trzeba rozgonić... Tego samego dnia miałem ten materiał na biurku, Oczywiście ludzie w cenzurze powiedzieli: Franek ty chyba na głowę upadłeś. Nie puścimy ci tego. No to ja do Wydziału Propagandy KC. Kierownik, mój stary druh: kto cię upoważnił?... itp. Wróciłem do redakcji, a tam już czekał na mnie pan, jak się okazało –

major. Wręczył mi liścik od pana generała Kiszczaka z uprzejmą prośbą o udostępnienie tego materiału. Na drugi dzień dostałem od gen. Kiszczaka podziękowania za udostępnienie tego tekstu. Od mojego szefa – Miodowicza – dowiedziałem się, że odegrał on ogromną rolę, bo zapobiegł pacyfikacji stoczni, która była już postanowiona. To miał być potężny, pokazowy desant.

– A wcześniej, przed tym strajkiem, rozmawialiście z Wałęsą, mieliście z nim kontakt?

– My, tzn. OPZZ-owcy. Mieliśmy kontakt z ludźmi Wałęsy, oczywiście. Rozmawialiśmy, jak związkowiec ze związkowcem, wymienialiśmy się materiałami. Wcześniej czy później do takiej publicznej rozmowy Miodowicza z Wałęsą też musiało dojść. To było dla nas jasne. U nas to był temat każdego dnia – jak przerzucić przynajmniej małą kładkę w tamtą stronę? Czuliśmy, że inaczej znajdziemy się za burtą.

– Wałęsa nie tylko wam spędzał sen z powiek. Przede wszystkim władzy.

– Trudno się dziwić – kto by tu nie przyjechał, ustrajał swoją wizytę spotkaniem z Wałęsą, czyli oficjalnie z „nikim”. Thatcher przyjeżdżała do Polski – jechała do Gdańska, papież przyjeżdżał – jechał na spotkanie z nim w Tatry...

– Baliście się, że władza w końcu jakoś się z nim dogada i OPZZ zostanie na marginesie wydarzeń?

– To wynikało z nastrojów w gremiach partyjnych – od najniższego do najwyższego szczebla. To wisiało w powietrzu. Sami więc kombinowaliśmy, jak z tego wyjść, jak się obronić? Wiedzieliśmy oczywiście, że każda, nawet nasza najbardziej „wewnętrzna” rozmowa, natychmiast przenika „do góry”. To dziś wiemy na pewno – ze statystyk, że ok. 60 proc. naszego środowiska, to byli ludzie z bezpieki.

– Michnik miał więc trochę racji, mówiąc że OPZZ wyrósł „na pałach ZOMO”?

– Myślę, że miał. To jest zresztą nieuniknione przy dużych ruchach społecznych.

– **Z tego, co wiemy po latach owe symboliczne ZOMO obdzielało swoim kadrami obie centrale związkowe.**

– Taka była rzeczywistość. Tego nie można zakłamywać, Tak się to działo po prostu. Samo życie. Zastanawialiśmy się więc jak się „wybić na niepodległość”, jak zrobić kuku władzy.

– **Czyli jak budować własną wiarygodność?**

– Tak. „Padło”, że tak powiem, na budownictwo mieszkaniowe. Problem zawsze w Polsce nabrzmiały, pełen sytuacji wybuchowych. Wymyśliliśmy słynny wtedy „Zjazd ludzi bezdomnych”. Zadaliśmy pytanie: „Jak można budować socjalizm bez dachu nad głową”... Stłamszono nas wtedy. Nie odbyła się wielka impreza planowana pod Gdańskiem, na terenach przyszłego osiedla, które nam się tam marzyło. Zjazd odbył się w siedzibie Związku Nauczycielstwa Polskiego i nie był to „zjazd ludzi bezdomnych”, tylko „ludzi bez mieszkań”. No, bo jak to – bezdomni w socjalizmie – towarzyszu Franciszku... Jeszcze dziś mam wrażenie, że Generał nie tyle był zaskoczony faktem, że w Polsce mogą być bezdomni, tylko o wiele bardziej tym, że nam to przez gardło przeszło. To był taki nasz pierwszy krok „ku niepodległości”. Ale w głowach przede wszystkim świdrowała nam myśl, jak grać z Wałęsą? A właściwie, jak z nim pograć, żeby nie przegrać.

– **Czyli nie tylko władzy, ale i wam Wałęsa cały czas tkwił kością w gardle?**

– Dla Miodowicza był pierwszoplanową postacią. Absolutnie. Chciał się z nim zbliżyć, ale nie wiedział, jak to zrobić. Gdy ich wtedy obserwowałem dochodziłem do wniosku, że to są te same typy. Świetni wiecowcy, porywający ludzi. „Bezkartkowcy” – podczas przemówień nie posługiwali się notatkami, ani zapisanymi tekstami. Alfred nie znosił czytania, nigdy nie widziałem go czytającego z kartki. Nawet jak rząd Messnera

obalaliśmy i koledzy napisali mu wystąpienie, to siedząc w restauracji kazał mi zrobić małą ściągę. Wałęsa był taki sam. Praca w gremiach, a już nie daj boże w gremiach intelektualnych, nie wchodziła w rachubę. Ni cholery! Firma zaczynała pracę o 8.30, Alfred był za piętnaście ósma, ja byłem wpół do ósmej, sekretarka wchodziła do mnie od Alfreda: „Szef czeka. Bo on wchodził do sekretariatu i mówił tak: Krysia, dwie kawy i Fhranka...” Potem, zanim się firma rozkręciła, pytał: „Fhraniu, co tam słychać, jaką rozpierduchę hrobimy jutro?” Tym żył. Miał nosa, to prawda. Przy czym z dużym dystansem trzymał otoczenie. Nie fraternizował się. Byłem jedynym, z którym się zbliżył. Rodzinnie spędzaliśmy sylwestry, wspólnie wyjeżdżaliśmy na wczasy. Wałęsa i Miodowicz, to byli tacy ludzie – zazdrośni o wszystko, co dotyczy ich bezpośrednio. Po kilku latach takiej roboty czułem się wypalony. Miałem propozycję pracy w dyplomacji. Alfred powiedział: „Po moim trupie. Ode mnie się nie odchodzi!” Potem oczywiście wypieprzył mnie elegancko w roku 1989., po przegranych wyborach.

– Ale wróćmy do tematu – jak doszło do telewizyjnej rozmowy z Wałęsą.

– Jest jesień 1988 roku. Alfred mówi – jedziemy do Gdańska. Obiecałem naszym związkowcom, że tam będę, ale przygotuj to tak, żebyśmy byli w Stoczni, na Wydziale 5, elektrycznym, gdzie jest Lechu. Przejdziemy przez cały wydział, zrobimy spotkanie z ludźmi, ty sobie zrobisz materiał do gazety...

– Prasa, telewizja – chęć dobrego zaprezentowania się opinii publicznej u wszystkich była dojmująca, jak widzę.

– No, tak, absolutnie. Ale tym razem nie było żadnej oprawy.

– Sytuacja w kraju na jesieni 1988 roku była bardzo napięta. Z jednej strony zbliżał się Zjazd Partii, z drugiej trwały pierwsze, sondażowe rozmowy między wysłannikami episkopatu i opozycji a przedstawicielami Generała, które ostatecznie

zaowocowały „okrągłym stołem”.

– Tak! Ale to się chwiało bardzo. Ten przyszły stół – mówiąc obrazowo – w jednym tygodniu montowano, a w drugim demontowano. Alfred mówił do mnie tak: „Franiu, to pierdoły są. Z tego nic nie będzie, zacznie się za to taki stan pseudo wojenny – tylko w gospodarce. Przykręć tak śrubę, że nikt nie będzie dychał. Jedziemy do Gdańska! Tylko nikt o tym nie wie...” Kupiłem 3 bilety na pociąg, ale jako dziennikarza diabeł mnie męczył. Zaprosiłem jednego z korespondentów prasy zachodniej i mówię mu: „Panie Krzysztofie jedziemy do Gdańska”. „Mogę z wami?” „Z nami nie, ale obok... Tylko nie chcę was widzieć.”

– Was?

– Z Bobińskim pojechał też Aleksander Smolar. W Stoczni zrobiliśmy, to co trzeba, czyli obkolendowaliśmy wydziały. Na elektrycznym było sympatyczne spotkanie, nie napastliwe. W drodze powrotnej, po jakimś czasie od wyjazdu z Gdańska, przypadkiem pojawili się przechodzący korytarzem Bobiński ze Smolarem. „O!, co za niespodzianka, zapraszamy...” Weszli do przedziału. W dobrej atmosferze wspólnej radości z „niespodziewanego” spotkania zaczęliśmy rozmawiać.

– O czym?

– O polityce, a o czym takich kilku facetów jak my mogło rozmawiać? Opowiedzieliśmy im o naszej koncepcji „przerzucania kładek”. „To dobry pomysł”, powiedzieli. „To trzeba zrobić, ale najlepiej publicznie...” Dotarliśmy do Warszawy. Z dworca pojechaliśmy do mnie do domu na kielicha. I Alfred mówi: „Wiesz, co – jakbyśmy tak jutro zaskoczyli całą Polskę? Tylko jak to zrobić? W twoim tygodniku, to ukazałoby się za tydzień... Gdzie to można by umieścić?...” Teresa Grabczyńska miała dobre układy wszędzie. Był 14 listopada. 15-tego na łamach „Trybuny Ludu” Teresa puściła „zajawkę” – krótką wypowiedź Miodowicza, że on uważa, że dość już tego wszystkiego, i że on jest gotowy rozpocząć nowy rozdział w życiu związkowym.

– „Kładka” została rzucona publicznie...

– Tak. Alfred powiedział, że jest gotów spotkać się z Wałęsą i odbyć z nim telewizyjną debatę.

– To było powiedziane poza władzami partyjno-państwowymi?

– Z nikim nie było uzgadnianie. Daję słowo honoru.

– Ale przecież rządzący mieli jeszcze większego hopla na punkcie Wałęsy niż Miodowicz. Wałęsa był symbolem ich władzy niecałej. Ktokolwiek znaczący by do Polski nie przyjeżdżał, spotykał się z nim. Ostentacyjnie, wyzywająco. To rzeczywiście było drażniące. I nagle co – Miodowicz sam z siebie zachowuje się jak Margaret Thatcher?

– Dziś jestem mądrzejszy o to, co czytam, co szło do rąk Generała. Generał już rok wcześniej otrzymywał opracowania, sugestie, żeby otworzyć się na Wałęsę. Że może dobrze by było, gdyby Miodowicz się z nim spotkał, gdyby odbyli rozmowę... Dziś tak sobie to tłumaczę, że ktoś w najwyższych sferach władzy, widział dalej i więcej. I kiedy się okazało, że Miodowicz sam wychodzi z taką propozycją, puszczono tę nikłą prasową notkę. Sam redaktor naczelny „Trybuny Ludu”, nawet z naszą Teresą Grabczyńską, byli „za krótcy” na taką grę.

– Z raportów Wiesława Górnickiego dla Generała Jaruzelskiego wiemy, że przed spotkaniem Reagana z Gorbaczowem w Reykjavíku wysokiej rangi i znaczenia wysłannik Kremla poprzez Górnickiego poinformował Generała, że stan rozmów między ZSRR i USA jest taki, że wszystko w Europie stało się możliwe. Co należało rozumieć, że Układ Jałtański wkrótce może przestać obowiązywać, i że zmieni się nie tylko sytuacja Niemiec, ale, co z a tym idzie – cała sytuacja geostrategiczna w naszym rejonie. Od roku Generał wiedział więc, że obóz socjalistyczny dożywa swych dni i rozumiał, że trzeba z tego wyciągnąć właściwe, najlepiej dla narodu – bezkrwawe wnioski.

– Kto wie, może rzeczywiście to właśnie leżało u podstaw tej

drobnej w końcu decyzji: opublikowania notatki, w której szef jednej centrali związkowej proponuje drugiemu spotkanie i rozmowę zamiast „targania się po szczękach”. W tamtej rzeczywistości w „Trybunie Ludu” nic przypadkiem się nie działo. Niemniej próbowano do tej rozmowy nie dopuścić. Wałęsa zresztą nie ułatwiał sprawy. 27 listopada w swoim stylu przyłożył Miodowiczowi. Dał pretekst. Następnego dnia wezwano mnie do KC. Byli Jaruzelski Rakowski, Ciosek, Sawic, Urban i Miodowicz. Ja i Urban mamy sformułować stanowisko, które ma doprowadzić do zerwania rozmowy. Rakowski i Ciosek są zdecydowanie za tym. Generał jest neutralny, Miodowicz drwiący. Jak zwykle powstaje kilka wersji – Miodowicz nie godzi się na żadną. Do głównego wydania DTV zostaje 15 minut, a ja mam odczytać tę wiadomość, jako pierwszą. Stało na tym, że powiem po prostu, że droga do zbliżenia nie może wieść przez inwektywy, że rozumiemy emocje, ale jest coś znacznie poważniejszego do załatwienia. Na sygnale dowieziono mnie do studia na 20 sekund przed startem DTV. Byłem potwornie wyczerpany psychicznie, ale dumny, że się udało, że nie dałem plamy. Ten epizod był jednak, jak się okazało, początkiem końca mojej bezpośredniej współpracy z Miodowiczem.

– Dlaczego?

– No, bo natychmiast zaczęły się tworzyć wokół niego grupy i grupki, które suflowały Miodowiczowi w różnych tonacjach, ale jedną melodię: Mamy go na widelcu, teraz trzeba go zgnoić, przywalić mu, przecież to młot, tępak... Miodowicz nigdy wobec Wałęsy takich sformułowań nie używał. Nie znam takich przypadków. Nigdy nie słyszałem z ust Miodowicza takich słów. Natomiast taką gębę mu dorabiano, to fakt. Pamiętam moją rozmowę z nim. Powiedziałem mu: „Alfred, jak dojdzie do tej rozmowy między wami, nie waż się używać takiego języka. To trzeba rozegrać elegancko, a nie tak, jakby chciał partyjny beton, który i tak przecież cię nienawidzi. Bądź dżentelmenem, który zaprosił gościa do swojego domu...” No, ale oczywiście beton robił swoje. Po tylu latach wspólnej pracy z

Miodowiczem, po wspólnie przejechanych tysiącach kilometrów, po setkach dni pracy od świtu do świtu, dzień w dzień, zostaje od tej sprawy odsunięty. Ściślej – nie dostaje propozycji przygotowania szefa. On wybiera sobie betonową czwórkę naszych pracowników z centrali OPZZ. W ostatniej fazie dołącza do nich Urban z Cioskiem i pompują tego Alfreda... Ja w żadnym etapie tych przygotowań nie uczestniczę. Jestem kompletnie wyautowany. Ale w dniu 30 listopada, czyli w dniu debaty, zostaje zaproszony na ulice Boya, do naszej kanciapy – mieliśmy tam do dyspozycji recepcyjny apartament – na dobrą kolację. Najbliższe grono, pięcio-, sześćoosobowe, sami związkowcy. Mieliśmy fetować wielkie zwycięstwo szefa. On miał tam przyjechać po programie... Przyjechałem, potraktowali mnie koledzy tak, jak przez ostatnie tygodnie. Zaczęła się debata. Po 9 minutach nie wytrzymałem i powiedziałem: „Koledzy, gratuluję wam. Macie to kompletnie przerżnięte... Nie może być tak, że gospodarz wygłasza ponad 10-minutowe przemówienie, a gość siedzi, jak nie wiadomo kto.”

– Wybrnął jednak z tego koncertowo. Miodowicz został solidnie obity...

– Ale była szansa, żeby to była rozmowa dwóch doświadczonych poobijanych przez życie związkowców. Była taka szansa! Mówiłem: „Alfred zacznij normalnie – dzień dobry panie Lechu, cieszę się, że to nasze spotkanie dochodzi do skutku. Bo lepiej rozmawiać niż nie rozmawiać. Tym bardziej, że jest o czym. Spróbujmy razem coś zrobić...” Moje rozmowy z Miodowiczem w cztery oczy na nic się jednak nie zdały. Alfred stał w rozkroku – jego związkowa dusza walczyła z duszą działacza partyjnego, członka Biura Politycznego. Potem mi się tłumaczył, że „kierownictwu” bardzo zależało, żeby Wałęsa nie skopał tej drogi, którą przebyła Polska, tego dorobku ostatnich 20-30 lat. Wałęsa wcale się nie odnosił do tego, co za nami. On patrzył do przodu. Natomiast ustami Miodowicza swoje frustracje wyrażał partyjny beton. Dlatego Miodowicz przegrał.

– Co mówili wasi związkowcy po debacie?

– Część to, co wszyscy – że Miodowicz przegrał. Część zaś, że przeciwnie. Jeśli chodzi o mnie i Miodowicza, od tej pory zrodził się pewien dystans między nami. Zaczęły się przygotowania do „okrągłego stołu” – też takie dosyć, powiedziałbym – rozchwiane. W pewnym momencie zorientowaliśmy się, że chcą nas wykołegować...

– OPZZ?

– No tak. Trzeba się było strasznie usztywnić: „Ppanowie, co jest? Chcecie, to idźcie sobie razem z tą opozycją, nas tu nie będzie.” Te konflikt przy „Okrągłym stole” były widoczne. Przypomnę, jak w ostatnim dniu pozytywne zakończenie obrad na kilka godzin zawisło na cienkim włosku. Myśmy nie chcieli podpisać dokumentu podstolika gospodarczego. Tam było sporo sformułowań, które przeczyły temu, co reprezentowaliśmy przez lata... To nas niepokoiło. Nigdy tego nie podpisaliśmy. W kilka dni po debacie pojechałem do Wałęsy. Wyznaczył mi spotkanie w św. Brygidzie, u Jankowskiego. Byliśmy umówieni na wywiad. Przyjechałem, przywitaliśmy się, powiedział: „Panie Franciszku (patrzę na dziedzińcu są tłumy ludzi, limuzyny z dyplomatycznymi numerami) – przekładamy wywiad. Pojutrze wylatuję do Paryża. Adaś Michnik z panem wszystko załatwi. A my spotkamy się po moim powrocie – zadzwonię.” Wyszedł Michnik, pokazałem mu stenogram z telewizyjnej debaty, powiedziałem, że zależy mi bardzo na jego druku w mojej gazecie związkowej. I on mi to autoryzował w imieniu Wałęsy. Wypiliśmy kawę, pogadaliśmy. Po paryskim pobycie wrócił jednak zupełnie inny Wałęsa. On też miał takiego swojego „Franciszka” – Krzysztofa Pusza. I Krzysztof powiedział mi: „Franiu, szef jest nieosiągalny...” Nigdy już się na ten wywiad powtórnie nie umówiliśmy.

– Czy mam rozumieć, że w twojej ocenie spotkanie, które w zamyśle gremiów partyjnych miało być bezdyskusyjnym zwycięstwem Miodowicza, czyli władzy nad Wałęsą, stało się

początkiem jej końca?

– Tak. To było nie do wygrania. Samo pokazanie się Wałęsy – po sześciu latach prób wyimpasowania go z życia publicznego, już było jego zwycięstwem. Nie mieliśmy żadnych szans. Naprawdę nie było ważne, co on powie.

– Wymyśliliście przerzucanie kładki między centralami związkowymi, ale Wałęsa zrobił hokus-pokus i kładkę zamienił w wielopasmową autostradę, po której pojechał po władzę. A może tak miało być? Skoro cała sympatia społeczna była po jego stronie, to z góry skazani byliście na porażkę. Może OPZZ umyślnie został rzucony na pożarcie?

– Dziś byłbym skłonny ku temu się przychylić. Nigdy tego do końca z Alfredem nie potrafiłem sobie wyjaśnić. Mimo, że się do dziś spotykamy, nadal kolegujemy. Jestem jedynym z jego najbliższego niegdyś otoczenia, który mimo, że wyrzucony kiedyś, utrzymuje z nim kontakt. On zresztą przechodzi teraz trudne terminy. Ale nawet jak był zdrowy nigdy nie wracaliśmy do tego tematu.

– Może wtedy tak właśnie musiało się wszystko potoczyć?

– Dziś byłbym gotów potwierdzić tę teorię. W pewnym momencie osoba Cioska miała decydujący wpływ na sposób zachowań.

– Przecież pan Stanisław przeszedł do historii jako człowiek pragmatyczny i jako człowiek kompromisu.

– Mój były szef, Stasiu Ciosek, zawsze przechodził, na wszystkich etapach. To cudowny człowiek, bardzo inteligentny...

– To jakie twoim zdaniem on mógłby mieć zadanie do wykonania? Rzucić OPZZ na stos?

– W końcówce 1988 roku władza była bardzo zmęczona tym, że jest władzą, nie widząc możliwości wyjścia z tej pętli miała dość. Nadzieje związane z rządem Rakowskiego też zaczęły się rozpląwać. Dojrzała świadomość, że wszystko się kończy.

Powstało pytanie – jak to oddać? W sensie polityczno-intelektualnym wszystkie najważniejsze decyzje, które zostały podpisane przy „okrągłym stole” zapadły w głowach decydentów przed rozpoczęciem obrad. Władza niczego nie chciała negocjować, zaś wszystko chciała oddać i mieć to wreszcie z głowy.

– Zanim zaczęto grać uwerturę władza gotowa już była na finał?

– Myślę, że tak. Rozmowa Miodowicza z Wałęsą była tylko fragmentem tej opery. Nasi tak się zapętlili, że nie było innej drogi.

– Była, ale na szczęście nikt na nią nie chciał wejść...

– A jeśli nawet ktoś chciał, to był za słaby...

Rozmowę z Franciszkiem Zakamuflowanym (?) przeprowadził Marek Barański

Źródło: „Dziennik Trybuna”, Trybuna.eu